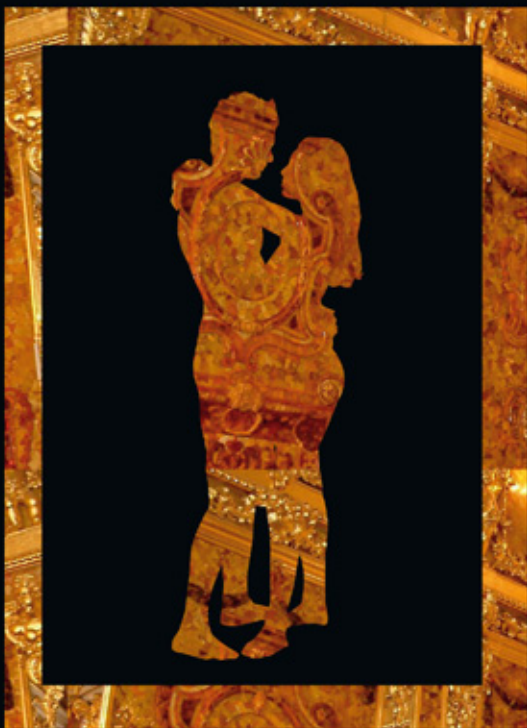


ZDRADA PRZEZNACZENIA

O miłości, życiu
i Bursztynowej Komnacie



Bożena Krajewska & Grażyna Tallar

Bożena Krajewska & Grażyna Tallar

ZDRADA PRZEZNACZENIA

O miłości, życiu i Bursztynowej Komnacie



[Kup książkę](#)

© Copyright by Wydawnictwo Poligraf, 2013

© Copyright by Bożena Krajewska & Grażyna Tallar, 2013

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment nie może być publikowany ani reprodukowany bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Kacper Kucharski wg pomysłu autorek

Redakcja: Klaudia Drózdź

Korekta: Anna Kurzyca

Skład: Wojciech Ławski

Książka wydana
w Systemie Wydawniczym Fortunet™
www.fortunet.eu

ISBN: 978-83-63506-23-0

Wydawnictwo Poligraf
ul. Młyńska 38
55-093 Brzezina Łąka
tel./fax (71) 344-56-35
www.WydawnictwoPoligraf.pl

[Kup książkę](#)

PROLOG

Gdyby to ona miała opowiedzieć o tej miłości, to mógłby się z tego wyłonić tylko przesłodzony obraz, żeby nie powiedzieć wielki kicz. Egzaltowana i wrażliwa Jadwiga, z jej marzeniami o idealnej miłości, żyła w świecie z poprzedniej epoki, w świecie romansów Mniszkówny.

Pomimo wieloletniej kariery w finansach i mistrzowskim żonglowaniu liczbami, nie umiała żyć czy cieszyć się szczęściem bez ukochanego mężczyzny. Infantylna wiara w przeznaczenie pozwoliła jej po raz drugi zakochać się bez pamięci. Spotkała Hansa.

Najszczęśliwsze chwile przeżywali na karaibskiej wyspie Eleuthera. Łagodny ocean codziennie przywoływał ich swoim tajemniczym szeptem. Objęci czule godzinami spacerowali po biało-różowej plaży. Turkusowe morze odbijało się w oczach Hansa, w jej oczach był tylko on. Jego gęsta blond grzywa, spadająca w nieładzie na czoło, zręcznie kamuflowała wiek. Nikt by nie podejrzewał, że przekroczył już sześćdziesiątkę.

W tym raju każdego poranka Jadwigę budziły delikatne pocałunki ukochanego mężczyzny i słodki zapach bugenwilli. Harmonia i perfekcja Eleuthery odzwierciedlała ich długo oczekiwane szczęście. Czas dla nich stanął w miejscu. Zahipnotyzowała ich bujna egzotyczna natura. Tam nawet konary drzew spletały się w miłosnych uściskach. Najbardziej kochliwa była *Bursera simaruba*. Ta odmiana oplotła cały taras, wspinając się jak Romeo do swojej kochanki.

Dla Hansa Jadwiga była ideałem kobiecości o bujnych piersiach, pełnych biodrach i zgrabnie wciętej talii. Czekoladowe

oczy promieniowały radością życia i pełnym uwielbieniem. Lekko rozchylone zmysłowe usta zapraszały go do dalszych pocałunków. Zaróżowione gorące policzki płonęły jeszcze wspomnieniami ostatniej nocy, a na twarzy raz za razem igrała figlarnie uśmiech. Patrząc na nią, uświadomił sobie, że jest sprawcą tego błogostanu i był pewien, że to on namalował ten obraz swoją miłością. Poczul się wielkim artystą, dumnym ze swego dzieła jak Pigmalion tworzący Galatę.

– Najdroższy, spełniłeś moje najskrytsze marzenie o idealnej miłości. Czuję się taka szczęśliwa i bezpieczna. Kocham cię do szaleństwa, aż tracę poczucie rzeczywistości. – Jadwiga objęła Hansa z ufnością małego dziecka. – Czy można być aż tak szczęśliwym, że żadne słowa nie potrafią tego wyrazić? Cieszę się, że obydwójce dzielimy ten magiczny moment.

– Rozumiemy się bez słów, kochanie. – Hans delikatnie pogłaskał Jadwigę po ręce, po czym ucałował wewnątrz jej ciepłej dłoni. – Pozwolę sobie sprowadzić cię na ziemię, moja królowo, i zamawiam śniadanie do łóżka.

Hotel Pink Sand Resort, położony na dwudziestu hektarach bujnej dżungli, słynął z luksusowej i oryginalnej kuchni. Doglądał tego osobiście młody i sławny *chef*, dogadzając najbardziej wytrawnym hedonistom. Dojrzałe tropikalne owoce prześcigały się w swoich kolorach i rozpyływały się w ustach, a smak słońca dodawał im słodczy. Gorące maślane bułeczki na turkusowych talerzach wyglądały jak puszysta pianka morska, zaś zapach świeżo parzonej kawy w srebrnym dzbanku pobudzał wszystkie zmysły.

– Najukochańszy, nasza miłość jest darem Boga – rozkoszowała się tą chwilą rozmarzona Jadwiga. – Dzięki tobie widzę świat przepiękny, pełen dobrem i miłością. Stanowimy niezerwalny monolit szczęścia.

– Nie umiem tak poetycko jak ty wyrazić tego uczucia, ale cieszę się, że pokazałaś mi ten raj na ziemi. Kocham cię, Jenny. Kocham na zawsze.

P o raz kolejny żelazne drzwi celi zazgrzytały ze skomlącym jękiem. Co dwie godziny strażniczka, o cerze poróżkłej od papierosów, z rzetelnością służbisty sprawdzała celę samobójcy. Jej zadaniem było upewnić się, że więźniarka oddycha. W więzieniu przywilej życia był chroniony prawem. W celi samobójcy nikt nie decyduje o swojej śmierci. System więzienny pilnuje skrupulatnie bezpieczeństwa osadzonych. Jadwiga od tej pory była tylko jedną z danych statystycznych chronioną za pieniądze podatników.

Ból, palący, przepojony goryczą i ciągle wracające jak bumerang pytanie: jak ja się tutaj mogłam znaleźć? Zapadam się w czeluście. Nie chcę istnieć, pragnę zanurzyć się w niepamięć i rozpaść się na najmniejsze cząstki. Chcę umrzeć. Czy to, co się dzieje, jest możliwe, czy może jest to tylko zły sen?

Boże, żeby ona już mnie zostawiła w spokoju. Tak tu zimno, drzę, nie mam się czym przykryć. Lodowate łóżko. Koszula spleciona z pasków materiału. Inteligentne zabezpieczenie. Przecież nie porwę jej na kawałki i nie powieszę się pod sufitem. Na to nie miałabym już siły. Oglupiający zastrzyk paraliżuje całe moje ciało, nie czuję rąk i nóg, czuję tylko ten cholerny ból w sercu. Przeszywa mnie jak ostrze noża i tnie mózg jak świeżo naostrzona brzytwa. Nie mogę się pozbierać. Chcę zasnąć i już się nie obudzić. Po co żyć, jeśli on mnie tak upokorzył, zniszczył wszystko, co nas łączyło, co nadawało sens życiu? Czy można żyć bez miłości? Ostatnie złudzenia prysnęły jak bańka mydlana.

Za drzwiami celi stała inna kobieta, pani psycholog na dyżurze, i jak za każdym razem teraz też nie mogła zrozumieć, dlaczego tak często kobiety z miłości przekraczają barierę logiki i prawa. Ona wiedziała, jak łatwo jest wpaść w sieci systemu w tym kraju, a jak trudno potem jest się wydostać z tej matni, wyjść na powierzchnię i znowu normalnie funkcjonować.

Wystarczy kłótnia kochanków i ta strona, która wzywa policję, jest automatycznie uznana za poszkodowaną. Natomiast osoba oskarżona, bez względu na fakty, zostaje zakuta w kajdanki i jedzie do aresztu.

W sądzie nie ma faktów, tylko istnieją ich interpretacje – ze współczuciem pomyślała pani psycholog – a te nabierają znaczenia wprost proporcjonalnie do wysokości wynagrodzenia prawnika.

Już zaczynało świtać, przez brudne małe okno więzienia w Milton widać było pierwszą smugę zimowego dnia. Na biurku znużonej pani psycholog pozostała jeszcze jedna, ostatnia tej nocy, kartoteka z wydrukowaną etykietką: Jadwiga Mazurek.

Znowu imigrantka – zarejestrowała nazwisko psycholog – jak one są nieprzygotowane do uniknięcia pułapek kanadyjskiego prawa. Jak naiwnie wierzą w swoje prawdy i myślą, że system będzie je popierał i bronił. Prawo, oparte na systemie brytyjskim, broni przede wszystkim własności, a nie człowieka i jego niuansów miłości. Miłość nie mieści się w kanonach prawa, przekracza jego granice i żyje według własnych zasad. One wszystkie pragną tylko miłości i szczęścia.

– *Czy tego też pragnęła Jadwiga?* – odpowiedzi na to pytanie pani psycholog szukała w wystraszonych oczach kobiety na zdjęciu przypiętym do akt: wiek 49, rozwódka, miejsce urodzenia – Warszawa, miejsce zamieszkania – Burlington, Ontario, zawód – księgowa, wykształcenie – wyższe.

Oskarżona o:

1. Napaść z bronią w rękę.
2. Wtargnięcie na cudzą posiadłość.
3. Wyrządzenie materialnej szkody do pięciu tysięcy dolarów.

Chociaż oskarżenia były poważne, pani psycholog nie widziała w Jadwidze przestępcy, tylko zrozpaczoną kobietę w średnim wieku. W matowych oczach wyraźnie zgasła ostatnia szansa na szczęście. Jak namiętnie i gorąco musiały przedtem kochać te oczy koloru czarnej czekolady. Jak ładnie zarysowywał się owal delikatnej twarzy, pomimo spuchniętych od płaczu powiek. Rozpacz i tragedia nie potrafiły do końca zmyć jej urody i zakryć piękna duszy. Coś nieuchwytnego było w kącikach jej ust. *Je ne sais pas quoi* – pomyślała psycholog urodzona w Quebecu. Jasne pasma długich włosów, rozpuszczonych do zdjęcia, otulały Jadwigę i sprawiały wrażenie, jakby chciały ochronić ją przed rzeczywistością.

Wzdychając ze smutkiem, zmęczona pani psycholog przetarła okulary i dokończyła dwudziestoczworogodzinny raport obserwacyjny: „12 lutego 2007 roku – stan psychiczny samobójczyni ustabilizowany. Przesunąć na oddział więźniarek oczekujących na rozprawę”.

W specjalnie wyścielanych ścianach celi, pozornie spokojna i bezpieczna od groźby odebrania sobie życia, Jadwiga spadała coraz niżej w otchłań rozpacz i męki istnienia. Jej dusza umierała, umierała z samotności, z podeptanej miłości, z rozpacz, z nienawiści do wszystkiego, co może jej jeszcze oferować ten złudny świat. Żal wypełniał jej duszę, która rozpaczliwie pulsowała pamięcią jego dotyku. Cierpienie tego rozmiaru przerasta możliwości ludzkiego serca i gdyby nie ta ograniczająca cela, Jadwiga z pewnością wybrałaby śmierć.

Zabrano mi godność, jestem skończona i sponiewierana. Nie mam po co żyć, tak bardzo boli to odrzucenie. Nie mogę w to uwie-

rzyć, że Hans najpierw tak kochał i nagle zobojętniał. Czy on wie, co ja teraz czuję? Czy w ogóle myśli o mnie? Widzę tylko te jego niebieskie oczy spoglądające na mnie słodko i czule, ten zniewalający szept: „Kocham cię, Jenny, kocham na zawsze”. Dla niego byłam Jenny, w jego wyobraźni idealna puszysta wybranka mogła mieć tylko Jenny na imię. Hans, Hans może to wszystko pomyłka, może to zły sen i za chwilę obudzę się z tego koszmaru? Weźmiesz mnie znowu w swoje barczyste ramiona i będę ocalona!

Zimne jak kawał lodu łóżko wyrwało Jadwigę z półsennych wspomnień o Hansie i jego miłości. Więzienny metal poraził ją tragiczną rzeczywistością. Przypomniała sobie, że to przecież Hans zadzwonił na policję i dlatego tu się znalazła.

To on wrzucił mnie w tę bezdenną przepaść. Co mnie teraz czeka? Co ze mną zrobią? Boję się każdej następnej sekundy.

Nagle w drzwiach ukazała się energiczna, pełna wigoru nowoj zmienny, strażniczka, która świdrującym tonem zarządziła:

– Dżadliga Mazarek – przenosimy cię do oddziału oczekujących na sprawę. Wstań natychmiast!

Jak to łatwo powiedzieć, wstań natychmiast! Ja nie czuję nóg, a głowę ściska żelazna obręcz jak cierniowa korona ukrzyżowanego Jezusa. Kiedy skończy się ta moja Golgota?

Jadwiga próbowała zebrać siły, ale zatoczyła się od łóżka aż pod ścianę. Zniecierpliwiona strażniczka wyprowadziła ją z celi na korytarz i kazała zdjąć koszulę samobójcy. Podała jej zielony bawełniany podkoszulek i białe bawełniane majtki. Jadwiga, upokorzona i zawstydzona swoją nagością, wciągała je mozolnie na zdrętwiałe ciało. Jeszcze tylko zostały spodnie dresowe, sprane skarpetki i używane tenisówki.

– Pospiesz się, kobieto – ponaglała ją strażniczka, przygotowana do zapięcia kajdanków. Jadwiga nagle poczuła palący ból w przegubach opuchniętych rąk, pozostałość po wczorajszym areście.

– Odwróć się i stań w rozkroku – usłyszała wrogą komendę i głuchy trzask mechanizmu blokady zapadki. Stalowe obręcze na nogach ograniczyły jej natychmiast swobodę ruchu. Łańcuch był niewystarczająco długi, by wykonać normalny krok. Jadwiga w milczeniu połykała łzy i starała się utrzymać wymagane tempo marszu. Przebycie kilkunastu metrów wąskiego korytarza wydawało się jej wiecznością. Spieczona usta, ognista suchość w gardle i ściśnięty żołądek, efekt wycieńczenia fizycznego i psychicznego, dawały się jej we znaki. Jadwiga była bliska omdlenia i prosiła Boga w bezgłośniejszej modlitwie o siłę, by dojść do przydzielonego oddziału. *Ojcze nasz, któryś jest w niebie...*

Nie pamięta, ile zmówiła pacierzy, zanim żelazna krata z jękiem przesunęła się tuż przed nią. Podnosząc głowę, kątem oka spostrzegła, że umieszczono ją na oddziale „D”. Na dużej sali siedziało przy kilku małych kwadratowych stolikach ponad dwadzieścia kobiet. Niektóre z nich były zwrócone w stronę powieszonego wysoko na ścianie telewizora. Tępy wzrokiem wpatrywały się w ekran. Pomieszczenie sprawiało wrażenie zwykłej świetlicy, pomalowanej w pastelowe kolory, ale grube stalowe drzwi do poszczególnych cel, tymczasowo otwarte, zdradzały okrutne przeznaczenie.

W każdej celi były dwa metalowe łóżka, na nich twarde obity ceratą materac. Pomiędzy łózkami był przybity do ściany mały stolik pokryty laminatem brudnoszarego koloru. Błyszcząca w świetle żarówki srebrna toaleta zajmowała jakby honorowe miejsce. Mała beżowa umywalka, wciśnięta w róg przy wejściu i dwie półki nad łózkami dopełniały umeblowania celi. Wszystko to było łatwe do wysterylizowania, oprócz... emocji więźniarek.

Każda więźniarka otrzymywała małą ceratową poduszkę, poszewkę, prześcieradło w paski i cienki wełniany koc. Oprócz ręcznika do przyborów toaletowych należała szczoteczka do

zębów, kawałek mydła i grzebień. Luksusem było posiadanie szamponu i kremu, które można było zamówić w kantynie, ale kto tutaj miał ze sobą pieniądze?

Dużą ulgę przyniosło jej zdjęcie kajdanków, a gwar otaczających ją kobiet chwilowo uspokoił. Niemniej strach i przerażenie ogarniały Jadwigę na myśl o tym, czy będzie w stanie nauczyć się reguł tej więziennej dżungli. Teraz marzyła, aby stać się niewidzialną. Nie miała siły stawić czoła hordzie kobiet złaknionych nowej ofiary. Skuliła się w kłębek.

Malowniczy rząd wiktoriańskich domków na ulicy Simcoe ochraniał swoich mieszkańców od zimnych wiatrów zatoki. Lutowy poranek zaglądał w małe okienka kuchni. Wzór żółtych koronkowych zazdrostek wtapiał się w malowidła szronu na szybach. W misternym urządzeniu wnętrza w stylu prowansalskim widać było ślady kobiecej ręki. Z porcelanowych żółto-niebieskich kafelków dumnie spoglądały koguty Galów, jakby one teraz objęły rządy w kuchni.

Ekspres do kawy bulgotał znajomym dźwiękiem obiecującym świeżą poranną kawę. Aromat kolumbijskiej mieszanki roznosił się po całej kuchni. Hans spokojnie odłożył codzienną gazetę i naładował sobie kawę do ulubionego kubka z wizerunkiem najmłodszego wnuczka. Odwzajemnił lekko uśmiech, widząc radosne oczy malucha. Ten kubek podarowała mu Margaret na jego 57. urodziny.

To już prawie trzy lata od jej odejścia. Wszystko stało się tak nagle, nawet nie zdążyli wydać walki drapieżnej chorobie. Leukemia zabrała ją za szybko. Pogrzeb odbył się dokładnie w trzy miesiące od złowieszczej diagnozy doktora Hammera.

Właściwie tylko Margaret była jedyną miłością mojego życia – zamyślił się Hans. – Na próżno próbowałem zastąpić ją innymi kobietami, z którymi związki były tylko ucieczką od cierpienia.

Już więcej nie zamierzam uszczęśliwiać innych swoim kosztem. Od pewnego czasu zaczął mnie męczyć związek z tą egzaltowaną Polką. Nie mam już więcej zobowiązań, już nic „nie muszę” – Hans odetchnął z ulgą – *a najważniejsze, że uwolniłem się od tak pochopnie składanych przyrzeczeń ślubnych.*

Hans von Moltke, potomek arystokratycznego rodu z Breslau, dzisiejszego Wrocławia, po ukończeniu szkoły średniej opuścił Niemcy. Pragnął odciąć się od pałacej przeszłości. Nie chciał dłużej odpowiadać za winy ojców, za przestępstwa wojenne. Kompleks niemiecki ciążył mu na duszy i przyjazd do Kanady miał go wyzwolić od tragicznej historii. Syn oficera SS często rozmyślał o brutalności i wynaturzeniu polityki nazi-stowskiej. Zadawał sobie setki pytań dotyczących postawy ojca wobec rozkazów. Czy ojciec wykonywał tylko rzetelnie rozkazy przełożonych, czy może mógł przeciwstawić się i zapobiec wielu zbrodniom? Dziadek Hansa zawsze powtarzał, że każda władza pochodzi od Boga i trzeba ją uszanować. Może dlatego ojciec jej tak posłusznie uległ?

Hans nie potrafił ślepo akceptować historii i zdecydowanie był przeciwnikiem odpowiedzialności zbiorowej. Miał już dosyć politycznej skruchy i chciał żyć normalnie, jak wszyscy młodzi ludzie, którzy mogą myśleć o swojej edukacji i przyszłości bez obciążeń. Poznanie Margaret na Expo '67 pozwoliło mu na urzeczywistnienie tych marzeń.

Pamięta, jakby to było dzisiaj: powabna, pulchna blondynka jednym uśmiechem przesądziła o jego młodzięcym losie. Duże zielone oczy o wyjątkowej właściwości widzenia wszystkiego, co najlepsze w każdym człowieku, i pełne zmysłowe usta przyciągnęły go jak magnes. Pierwszy raz w życiu poczuł takie pożądanie. Nie mógł oderwać oczu od jej napiętych pośladków, gdy pochylała się nad stołem i wdzięcznym gestem sięgała po broszury reklamowe. Kiedy się odwróciła, zauważył, że je-

dwabna sukienka w zielone liście opinała jej bujne dojrzałe piersi. Wiedział, że to piorunujące wrażenie, jakie zrobiła na nim Margaret, jest znakiem przeznaczenia. Nigdy wcześniej nie miał takiego pragnienia posiadania kobiety i stał zahipnotyzowany jej zmysłowością. Po chwili jednak zorientował się, że nie może pozostać w takim bezruchu, musi działać!

– Czy spędzi pani ze mną resztę życia? – zapytał zdziwiony swoją odwagą i zanim zaskoczona dziewczyna zdążyła zareagować, szalony młodzieniec wziął ją w objęcia.

Margaret nie stawiała oporu, poczuła ciepło jego oddechu i moc silnych męskich ramion, a także uległa melodii cudzoziemskiego akcentu. Gdy spojrzała w jego niebieskie jak chabry, zniewalające oczy, czuła, jak magia oczarowania scala ich istnienia na zawsze. Ich szczęście wydawało się wieczne, przez ponad czterdzieści lat byli sobie oddani i zakochani jak podczas miodowego miesiąca. Stanowili wspaniały przykład dla trójki swoich dzieci, pielęgnując nieustannie ciepło domowego ogniska.

Jenny przypominała Hansowi Margaret, a jej namiętne oczy, choć czarne, a nie zielone, płonęły obietnicą podobnej, utraconej miłości. Tak bardzo pragnął odzyskać swoje szczęście i poczuć bliskość ciała kobiety. Piersi Jenny były pełne jak piersi Margaret i falowały tym samym rytmem, kiedy zdążała ku niemu. Pocałunki jej równie namiętnych ust dawały tę samą rozkosz i słodycz. Na dodatek Jenny była dużo młodsza od Margaret, a jej ciało było bardziej wysportowane i sprężyste. Jędrne uda oplatały go zniewalająco podczas miłosnych zbliżeń. To Jenny uzmysłowiła mu, jak seks jest potrzebny mężczyźnie.

Hans, mimo sześćdziesięciu lat, był niezwykle energiczny i sprawny fizycznie. Bardzo wysoki, muskularny o proporcjonalnej budowie Adonisa, zwracał uwagę wielu kobiet. Najbardziej przyciągały wzrok jego chabrowoniebieskie oczy patrzące

na świat łagodnie i z romantyczną zadumą. Regularne rysy, symetryczne kości policzkowe, zgrabny nos i wysokie, myślące czoło stanowiły harmonijny wizerunek wyjątkowo przystojnego mężczyzny. Gęste blond włosy, ostatnio krótko przystryżone, z niewidocznymi pasmami siwizny, dodawały mu młodzieńczego wyglądu. Hans wydawał się jeszcze młodszy, kiedy uśmiechał się zawadiacko, eksponując przy tym równe, białe zęby. Wszystkie kobiety, bez wyjątku, zarówno młodsze, jak i starsze, miały słabość do jego kokieteryjnego dołeczka w mocno zarysowanej brodzie, upodabniającego go do hollywoodzkiej sławy – Kirka Douglasa. Każda z nich chciałaby być tak kochana, jak kochana przez Hansa była Margaret.

Taka wierna i dozgonna miłość jest tylko wtedy możliwa, gdy dziewiętnastoletni chłopak zakochuje się w dojrzałej kobiecie i stawia ją na piedestale jako swój ideał bogini miłości.

Dwudziestosiedmioletnia Margaret miała już za sobą doświadczenia i rozczarowania pierwszej miłości, ale szczerą wyznającą młodemu Hansa ujęły ją bezgranicznie i pozwoliła sobie jeszcze raz uwierzyć mężczyźnie. W ich związku jej zlodowaciałe serce otwierało się jak pokryta szronem róża w promieniach rozgrzewającego słońca. Przymrozek pierwszej zranionej miłości nie tylko nie zubożył serca Margaret, wręcz je wzmocnił do dalszego i pełniejszego rozkwitu. Jak Hestia, grecka bogini domowego ogniska, skromna, cicha i łagodna, esencja kobiecości, Margaret darzyła ciepłem i życiodajnym światłem Hansa i troje ich dzieci. Kochali ją wszyscy, oddana i przyjazna, dawała rodzinie poczucie bezpieczeństwa i stabilności. Nigdy nie brała udziału w żadnej sprzeczce, żadna kąśliwa plotka nie splamiła jej ust.

Margaret była szczodra i zawsze bardziej uprzejma, niż to było konieczne. Oceniała ludzi na podstawie wielkości ich serca i zawsze taktownie wysłuchiwała obu stron przed wydaniem jakiegokolwiek opinii. Nikogo nie pozbawiała prawa do godności.

Dzięki swojej szlachetnej i mądrej żonie Hans zapomniał o bólu i rozterkach pochodzenia niemieckiego i starał się być najlepszym, jak tylko mógł, Kanadyjczykiem. Zawdzięczał Margaret swoje duchowe wyzwolenie, edukację i szansę życia w kraju o równym starcie dla wszystkich. Miłość, wdzięczność i przywiązanie rosły z każdym rokiem ich wspólnego pożycia. Dlatego było mu tak ciężko bez niej. Prochy Margaret stały na kominku w alabastrowej urnie. Rozmawiał z nią codziennie, opowiadał jej o wszystkich swoich troskach.

Wkroczenie Jenny w życie Hansa zburzyłoby nie tylko jego spokój, ale wręcz wymagałoby zmiany codziennych rytuałów i groziłoby rewolucją w wystroju domu. Do tej pory, od śmierci ukochanej żony, nic nie zmieniał, wszystko zostało tak, jak urządziła Margaret. Dla niego było to nienaruszalne sanktuarium miłości. Ale Hans znowu zapragnął wielkiego uczucia, chciał kochać i być kochany. Po kilku miesiącach uprzytomnił sobie jednak, że wprowadzenie się Jenny do jego domu wymagałoby zbyt radykalnych, przerastających go zmian. Może dlatego w panice, gdy Jenny stała taka osłupiała i bezradna, sięgnął po słuchawkę telefonu i wezwał policję, aby ją usunąć ze swojego życia.

– Musiałem tak postąpić – usprawiedliwiał się przed sobą Hans. – Prawo jest po mojej stronie. Może tylko powinienem był poinformować policję, że to była moja narzeczoną, a nie nieznaną mi intruz, który wtargnął na moją prywatną posiadłość.

Margaret – tłumaczył się przed urną z prochami żony – dla mnie była to jedyna możliwość pozbycia się Jenny na zawsze, bez łamania przyrzeczeń, bez patrzenia w jej oczy i dalszych scen. Teraz już nic nie będzie trzeba przedstawiać i wszystko może pozostać na swoim miejscu, tak jak ty to urządziłaś.

Jadwiga została okrażona przez grupę najbardziej agresywnych więźniarek, które zwietrzyły nową ofiarę.

– Za co cię wsadzili, laleczko? – zapytała kobieta o czarnej skórze i splecionych jamajskich warkoczykach, wykrzywiając się w sadystycznym uśmiechu. Z pewnością uzurpowała sobie prawo do bycia głównodowodzącą całego oddziału.

Jadwiga nie zdążyła zareagować, kiedy następna więźniarka, dużo starsza, siwa, o wyblakłych prawie nieistniejących oczach i pomarszczonej twarzy, burknęła:

– Chodź ze mną, wydám ci pościel. – W ten sposób wyciągnęła Jadwigę z kręgu, by ją ustrzec przed dalszą interrogacją. Jadwiga z nią wdzięcznością podążyła za starą kobietą.

W przydzielonej celi Jadwiga poznała swoją współmieszkankę. Była to zawodowa złodziejka, stała bywalczyni więzienia w Milton, kilkakrotnie oskarżona o napad z nożem, o ksywie – Madonna. Fotografie jej trojga małych dzieci, każde z innego ojca, były przyklepione krzywo nad łóżkiem. Na powitanie Madonna lekko uśmiechnęła się, ukazując brak dwóch przednich zębów:

– Co przemyślaś w swojej żeńskiej sakwie, kacio? –

Jadwiga w pierwszej chwili nie miała pojęcia, o co Madonna ją pyta. Przecież tu nie wolno mieć żadnych torebek. Dopiero po jej wulgarnym geście, wskazującym na dolną część brzucha, Jadwiga domyśliła się, że to pewnie chodzi o przemyt w waginie.

– Nic nie mam. Nie palę i zabrano mi wszystko w areszcie.

– Nie wstawiaj mi tu bajerów – krzyknęła Madonna, ale chyba szybko zorientowała się po niewinnej i zdziwionej minie Jadwigi, że to nowicjuszka, i dała jej spokój.

– No, dobrze. Idziemy szamać, to mi oddasz swoje papu. – I na dźwięk dzwonka oznajmającego porę posiłku Madonna szarpnęła Jadwigę w kierunku świetlicy, gdzie już była spora kolejka po ciemnobrązowe plastikowe łyżki, które były wydzie-

lane pod ścisłym nadzorem przed każdym posiłkiem i skrupulatnie odznaczane na liście. Nawet plastikowa łyżka jest tutaj traktowana jako potencjalne narzędzie zbrodni i dlatego jest dokładnie wyliczana. Po posiłku trzeba ustawić się w taką samą kolejkę i zameldować się, aby strażniczka odebrała i odhaczyła zwrot łyżki.

Za pierwszym razem Jadwiga nie miała okazji użyć więziennej łyżki, gdyż Madonna zręcznym ruchem polującej pantery w mgnieniu oka wyrwała jej całą tacę. Nie było żadnych negocjacji, którą część posiłku należało oddać. Dwie kromki chleba, dwie parówki, garstka zielonego groszku z puszki, mleko w ćwierćlitrowym kartoniku i pokryty lukrem donat zniknęły w sekundę.

Przy kolacji, mimo czujności Jadwigi, sytuacja z odebraniem posiłku powtórzyła się, choć tym razem nie była to Madonna, lecz mała azjatycka szelma, która twierdziła, że musi myć twarz mlekiem, żeby ładnie wyglądać na rozprawie. Resztę kolacji rozdzieliła pomiędzy swoje panoszące się koleżanki. Jadwiga była zastraszona, bezradna i głodna. Zaszczuta, bała się upomnieć o należyty jej przydział.

Zrezygnowana wróciła do celi i pragnęła usnąć, ale przeszkadzało jej w tym światło. Madonna pojawiła się na swoim miejscu tuż przed samą wieczorną komendą powrotu do celi. Strażniczki sprawdzały obecność i zamykały z głośnym hukiem wszystkie pomieszczenia na noc. Światła, o nieco mniejszym natężeniu niż w dzień, paliły się do rana, aby obchód widział, co dzieje się w celach. Cisza wypełniła całe więzienie i tak miało być do rana.

Kiedy Jadwiga była bliska zaśnięcia, poczuła koło siebie nieznanego jej, ciężkiego, piekącego zapach dymu, który wgryzał się w oczy i odbierał jej oddech. Zauważyła Madonnę siedzącą na łóżku z założonymi po turecku nogami, delektującą się papie-

rosem. Nie był to jednak zwykły papieros, który i tak byłby zakazany, ale z domieszką cracku, krystalicznej formy kokainy. W czasie palenia cracku w kilka sekund zawarta w nim kokaina dostaje się do mózgu, wywołując intensywną euforię. Naiwna Jadwiga nie miała najmniejszego pojęcia o cracku, przecież do tej pory żyła w zupełnie innym świecie.

– Chcesz sztacha? – Madonna wspaniałomyślnie proponowała jej trochę uciechy. Jadwiga zamarła. Przeraziła ją myśl o tym, co za chwilę się może wydarzyć. Z jednej strony nie chciała rozdrażniać Madonny i odrzucić jej hojnej oferty, a z drugiej – bała się zbliżającego się obchodu strażniczek.

Na szczęście Jadwiga nie musiała podejmować żadnej decyzji, ponieważ na korytarzu strażniczki podniosły już alarm i waliły ze wszystkich sił pałkami o kraty.

Klawisze zwęchały dzisiejszą świeżą dostawę cracku przemycaną nowymi kanałami. Ktoś musiał podkablować – myślała Madonna.

Gruby głos rozlegał się w korytarzu:

– Wychodzić, wychodzić szybko z cel! Wszystkie natychmiast do świetlicy!

Zanim strażniczka otworzyła ciężkie drzwi celi, Madonna zdążyła błyskawicznie połknąć żarzący się papieros, a zapalniczkę wsunęła szybkim ruchem głęboko do pochwy – w żargonnie więziennym – żeńskiej sakiewki.

Żadna z więźniarek nie była tak zdenerwowana jak Jadwiga. Dla nich to była codzienność. Osobista rewizja zdarzała się parę razy w tygodniu. Traktowały to jako jedną z niewielu atrakcji więziennych. Bawiło je szczególnie przerażenie, które malowało się na twarzach „nówek”. Jedne strażniczki przetrzepywały cele, ściągając materace z łóżek i z pasją wyrzucając wszystkie rzeczy osobiste na podłogę, a drugie pilnowały więźniarek w grupie i kolejno brały na rewizję osobistą.

Jadwiga drżała, nogi miała jak z galarety, nie wiedziała, czego się może spodziewać. Sparaliżowana sytuacją skuliła się w sobie. Znowu pragnęła nie istnieć, zapaść się pod ziemię i nie przeżywać tego wstydu. Przywołało ją do rzeczywistości wyczytanie jej nazwiska, jak zwykle ze zniekształconą wymową:

– Dżadliga Mazarek, następna.

Szła wolno, jak na ścięcie.

– Rozbieraj się do naga! – Słowa strażniczki zabrzmiały w uszach Jadwigi głuchym echem jak z głębokiej studni. Strażniczka, rozkoszująca się swoją absolutną władzą, znęcała się nad swoją ofiarą. Oprawczyni odczuwała wręcz erotyczny dreszczyk podniecenia. Łzy wstydu i poniżenia pojawiły się na policzkach Jadwigi. Wstyd czuła całym ciałem. Najgorsze jednak było, kiedy strażniczka kazała jej stanąć w nienaturalnie szerokim rozkroku i kucnąć. Ta pozycja i wstyd pomieszany ze strachem, były dla Jadwigi najbardziej upokarzające. Strażniczka kazała jej odkaszlnąć kilka razy, aby upewnić się, że niczego nie schowała w pochwie. Odarto ją nie tylko z ubrania, ale przede wszystkim z kobiecej godności. Niektóre, co bardziej podejrzane więźniarki, zostały odesłane do dalszego ginekologicznego badania.

W tym momencie Jadwiga bała się o Madonnę, ale na szczęście zapalniczka nie wypadła i obu im pozwolono wrócić do celi. Ta procedura trwała ponad cztery godziny i już nie zostało dużo czasu do porannej pobudki. Jadwiga nie zmrużyła oka do samego rana. Madonna oczami wyraziła uznanie dla Polki za jej solidarność. Od tej pory zdecydowała, że Jadwiga zasłużyła na swoje posiłki i można jej ufać.

Jak każdego dnia po powrocie z pracy Hans sprawdził zawartość skrzynki pocztowej. Nie spodziewał się nigdy niczego szczególnego oprócz rachunków i reklam. Tym razem zaintrygowało go zawiadomienie o przesyłce, którą miał odebrać osobiście na pocztę. Spojrzał na zegarek, była piętnasta trzydzieści. Poczta zamykała o siedemnastej. Zdąży więc jeszcze dzisiaj po nią pojechać.

Co to może być? – niepokoił się Hans, odbierając od urzędnika pocztowego grubą żółtą kopertę. Podał swoje prawo jazdy i pokwitował odbiór. Doszukiwał się nadawcy. Na odwrocie koperty odczytał niemiecki adres wypisany drukowanymi literami: Klaus Koch, Aachen, Jülicher Strasse 342 – 52070 Germany.

Usiadł za kierownicą i spokojnie otworzył kopertę. Zanim zdążył wyjąć papiery, na kolana wysypały się trzy małe poźółkłe czarno-białe fotografie. Najbardziej przyciągnęło uwagę Hansa zdjęcie trzech niemieckich oficerów, uśmiechniętych dumnie na tle wejścia do jakiegoś starego zamku. Szli równo, wyprostowani jak struny, jednakowym krokiem błyszczących czarnych oficerów, z wyrazem zadowolenia z siebie, jakby po zakończonej zwycięsko misji. Najwyższy oficer po prawej stronie miał na sobie płaszcz z epoletami, dwaj pozostali byli ubrani w mundury SS niższej rangi. Oficer w środku miał zawieszoną na szyi dużą lornetkę, a mężczyzna po lewej trzymał mapę w ręku. Na innej fotografii widniał murowany zamek, prawdopodobnie z czasów krzyżackich, z typową okrągłą wieżą obronną z przodu i grubymi murami. Na tyłach zamku wylaniała się strzelista dzwonnica katedry. Na odwrocie zdjęcia widniał niewyraźny napis: *Das Königsberger Schloss 1944.*

Hans nic z tego nie rozumiał, sięgnął po następne zdjęcie, które było tak zniszczone i wyblakłe, że można było się tylko domyśleć, iż była to kiedyś reprodukcja mapy.

Pośpiesznie szukał rozwiązania zagadki w liście. Oczyma przebiegał błyskawicznie po niemieckim tekście. Nieznany mu zupełnie Klaus Koch wzywał go niezwłocznie do Aachen, na ważne spotkanie związane z przeszłością jego ojca, na zdjęciu – oficer z lornetką. Hans w nerwowym podnieceniu sięgnął jeszcze raz po fotografię i uważnie przeanalizował twarz. Faktycznie, oficer w środku był jego ojcem, którego pamiętał z tamtych czasów tylko z rodzinnych fotografii. Johannes von Moltke, ojciec Hansa, zaginął bez śladu w sierpniu 1944 roku podczas brytyjskich bombardowań w Królewcu. Odnalazł się dopiero dwa lata po wojnie, ale nie powrócił do domu swoich pradziadów w Breslau, ponieważ był już to polski Wrocław. Podążając śladami przyjaciela z wojny, osiedlił się z żoną w Aachen. Hans nie nacieszył się długo obecnością ojca w życiu, ponieważ Johannes von Moltke, załamany wojenną porażką zmarł nagle na serce, kiedy mały Hans miał pięć lat.

Dziwne było to, że Klaus Koch zwracał szczególną uwagę na powagę sprawy i żądał niezwłocznego spotkania. Dozwolony jest tylko ich kontakt osobisty, jakakolwiek inna forma porozumiewania się jest zabroniona. Nadawca listu nalegał na szybkie spotkanie z uwagi na swój słaby stan zdrowia i podeszły wiek. Klaus Koch poszukiwał Hansa przez wiele lat, ponieważ przyrzekł swojemu stryjowi, iż odszuka potomków Johanna von Moltke i przekaze im sekret wojenny dotyczący zamku w Królewcu.

Hans postanowił znaleźć więcej informacji w domu. Przypomniawszy sobie, że siedem lat temu, po śmierci matki, przywiózł z Aachen jakieś rodzinne dokumenty, których do tej pory nie miał czasu ani chęci uporządkować. Jechał do domu szybciej niż zwykle, nie zdając sobie sprawy, że całą drogę przekraczał dozwoloną prędkość. Na szczęście nie było w pobliżu patrolu policji.

Przeskakując po dwa stopnie, Hans wbiegł schodami na drugie piętro do swojego biura. Początkowo nie pamiętał, gdzie schował tekturową teczkę przywiezioną z Niemiec, przeszukiwał więc kolejno wszystkie szuflady. W jednej z nich natknął się na fotografie zrobione z Jenny nad Niagarą, gdzie się jej tak pochopnie oświadczył. Ich uśmiechnięte, szczęśliwe twarze teraz wydawały się tak groteskowe. Odsunął błyskawicznie zdjęcia od siebie.

Ta Jenny wszędzie mnie prześladowe! – pomyślał w roztargnieniu i nagle przypomniał sobie, że Margaret, robiąc porządku parę lat temu, umieściła teczkę na górnej półce biblioteki. Tam też ją znalazł. Jednym zamaszystym ruchem wyrzucił całą zawartość teczek na biurko i wśród papierów wyszukał zdjęcia ojca z czasów wojny. Na jednym z nich widać było wyraźnie twarz ojca, oficera niemieckiego, dokładnie jak na zdjęciu przysłanym przez Kocha. Ta sama smukła twarz, prosty nordycki nos i głęboko osadzone oczy. Gdyby zdjęcie było kolorowe, można by było dostrzec te same jak u Hansa charbrowoniebieskie oczy. W tym momencie zdał sobie sprawę, jak bardzo jest podobny do swojego zapomnianego ojca. Właściwie nie znał go, tyle lat odzegnując się od niemieckości, faszyzmu i przeszłości.

Nie chciał mieć nic wspólnego z bolesną wojenną historią. Przez wiele lat był tylko Kanadyjczykiem i starał się nie myśleć o swoich germańskich korzeniach, niemniej list Kocha ponownie przypomniał mu, że jest synem niemieckiego oficera. Nie chciał go osądzać, ale też nie potrafił o nim myśleć jak o dobrym człowieku. Hans zastanawiał się, czy spotkanie z Kochem pomoże mu rozwiązać wątpliwości i rozliczyć z przeszłością. Jest to winien sobie, jak również swoim dzieciom i wnukom.

Tej nocy nie mógł zasnąć, przewracał się z boku na bok i w końcu wstał z łóżka, po czym nalał sobie do szklanki whisky z lodem. Otworzył komputer i sprawdził połączenia lotnicze do

Aachen. Wybrał linie Air Canada, odlot za tydzień z Toronto, lądowanie w Kolonii.

W Kolonii od razu zarezerwował wynajem samochodu w Europcar i stamtąd zamierzał pojechać do Aachen, do hotelu Ibis Normaluhr. Hotel był niedrogi i praktyczny, mieścił się w centrum miasta. Hans znał to miejsce z ostatniego pobytu. Mieszkał w nim razem z Margaret siedem lat temu, kiedy umarła jego matka. Wszystko wyglądało mniej skomplikowanie, gdy żyła Margaret. Jej obecność łagodziła przeżycia i konfrontację z niemiecką rzeczywistością. Dzięki jej cierpliwości i rozwadze Hans mógł stawiać czoła biurokratycznym wymogom procedury spadkowej. Tym razem będzie zupełnie sam. Obawiał się, że bez Margaret kontury Niemiec będą dla niego bardziej wyostrezone, może nawet drapieżne w swojej historii.

Intuicyjnie przeczuwał, że spotkanie z Klausem Kochem będzie jak otwarcie puszkii Pandory i skończy się ujawnieniem wszystkiego, co tak szczelnie zakrywał przez tyle lat. Jednak jakaś niepokonana siła pchała go do poznania prawdy.

Starsza o trzy lata siostra Jadwigi, Julia, nie mogła wiedzieć, co się w tym czasie wydarzyło, ponieważ oddawała się białemu szaleństwu na zachodnim wybrzeżu Kanady. Zatrzymała się w Whistler, miasteczku wtulonym w dolinę Gór Skalistych. Julia była zapaloną narciarką i rokrocznie przyjmowała wyzwania najwyższych stoków zjazdowych w Ameryce Północnej. Do Whistler ciągnęły ją nie tylko gwarantowane opady śniegu i puszysty lodowiec, lecz także głównie nostalgia za Kolumbią Brytyjską, jak również za grupą przyjaciół, z których większość mieszkała w Vancouver.

Julia opuściła Vancouver dziesięć lat temu dla niezwykle intratnego kontraktu w Europie, niemniej często odwiedzała

mieszkającą tam swoją najlepszą przyjaciółkę Joannę. Łączyły je te same pasje: narty, żagle, tenis i wycieczki rowerowe. Teraz miały dla siebie cały tydzień w eleganckim hotelu Château Whistler, wkomponowanym w dolinę pomiędzy popularnymi górami: Whistler i Blackcomb. Był to raj dla narciarzy, z ponad czterysta siedemdziesięcioma pięcioma zjazdami, o różnym stopniu trudności. Świetnie przygotowane trasy z łatwo dostępnymi gondolami i wyciągami przyciągały turystów z całego świata.

Tego dnia cała ich grupa, składająca się z ośmiu najwytrawniejszych narciarzy, wybrała się na tak zwane Heliskiing. Wszyscy się dobrze znali z wyjątkiem Toma, który przyleciał z Nowej Zelandii na zaproszenie Joanny. Tom od pierwszej chwili zainteresował się Julią i nie spuszczał z niej oka.

Helikoptery Bell 205 były zarezerwowane kilka tygodni wcześniej i stały przygotowane do odlotu na stanowiskach dwadzieścia trzy i dwadzieścia pięć. Piknikowy koszyk z lunchem czekał na nich w recepcji i należało tylko sprawdzić, czy cały sprzęt narciarski jest skompletowany. Szczególnie takie drobiazgi, o których się łatwo zapomina, jak gogle, kijki czy rękawice, a te są niezbędne na wysokich wietrznych szczytach.

Tom sprytnie usadowił się w helikopterze koło Julii i z czarującym uśmiechem nawiązał rozmowę. Słyszał od jej przyjaciółki, że Julia rok temu podróżowała po Nowej Zelandii.

– Julio, czy miałeś okazję zwiedzić Queenstown, czy byłeś tylko na Północy?

– Spędziłam w Queenstown cały tydzień. Wprawdzie nie był to sezon narciarski i helikopter wywiózł mnie w góry z rowerem, a nie z nartami, ale przestrzeń, stoki i panorama były zachwycające. Tutaj, w Whistler musisz być jednak bardziej czujny i ostrożny, bo czeka nas więcej pułapek. Śnieg zakrywa zdradliwe przepaście, trzymaj się grupy.

– Jeśli pozwolisz, Julio, będę się ciebie trzymał. Czy będziesz moim przewodnikiem?

Julia spojrzała w czarne jak smoła oczy Toma, pełne niebezpiecznie igrających chochlików. Patrzył na nią spod bujnej, falującej grzywy czarnych włosów czterdziestoparoletni mężczyzna, o regularnych, mocnych rysach. Jego modny dwudniowy ciemny zarost dodawał mu seksapilu. Ciemnoczerwony kołnierz kurtki podkreślał usta Toma, które wyglądały niezwykle zmysłowo i ponętnie. Julia odpowiedziała z nutką flirtu:

– Tylko pod warunkiem, że będziesz grzecznym i posłusznym chłopcem.

– Marzę tylko o tym, by schronić się pod twoje anielskie skrzydła, Julio.

Zastanawiała się, czy porównanie do anioła zawdzięczała swojej dojrzałej kobiecości, swemu ciepłemu uśmiechowi czy niebieskości oczu i złocistym spiralnym loczkom kokietująco opadającym na ramiona. Julia z rozmarzeniem wyobraziła sobie smak ust Toma i dotyk jego rąk na swoich pełnych, bujnych piersiach, zapominając zupełnie o mężu w Toronto, który i tak jakiś czasu temu przeniósł się do oddzielnej sypialni. Od lat nie czuła tak budzącego się pożądania.

Zbliżali się do miejsca lądowania. Helikopter zatoczył łuk, przelatując tuż obok groźnie wznoszących się skał, zakołował i zręcznie prowadzony przez pilota wylądował na niewielkim, płaskim kawałku zbocza. Pierwsza grupa czekała już na nich na szczycie. Znaleźli się w świecie zimowej bajki. Szczyty gór pokryte białym, głębokim puchem dostojnie konkurowały między sobą o pierwszeństwo. Rozciągająca się biało-niebieska panorama, w odbłasku świecącego słońca i iskrzącego się śniegu, dodawała narciarzom skrzydeł. Wszyscy, zjednoczeni z naturą, odczuwali niezłomną siłę gór, wolność duszy i ciała. W takich chwilach życie nabiera nowego wymiaru, świat wydaje się pięk-